

Felieton - Moja Polska

Jan Herman

Dziś nasza część globu – ta rozciągnięta między Atlantykiem a Uralem, między Arktyką a Morzem Śródziemnym – podejmuje wysiłek polityczny (i śladowo intelektualny) w sprawie wyboru „patentu na demokrację”.

Do wyboru mamy kilka tradycji:

1. Tradycja helleńska – to w największym skrócie Symmarchia (swobodne porozumienie suwerenów) samorządnych obywatelskich „polis”: tę tradycję Europa pogrzebała już dawno, ale przywołuje propagandowo;
2. Tradycja rzymska (zakłeta w równoważniku „demokratyczne państwo prawne”), która rozpostarta jest pomiędzy normy (wolno, nie wolno, należy), procedury (algorytmy i warunki postępowania-procedowania) i paremie (zasady ogólne, pozwalające interpretować, dawać wykładnię w różnorodnych sytuacjach);
3. Tradycja teutońska – to inaczej formuła „rzeszy”, czyli dobrowolnego związku różnorodnych, ale równoważnych sobie podmiotów (feudalnych, samorządów miejskich, zakonów, stowarzyszeń, wojsk – np. zakonnych), ukoronowanego osobą i instytucją Kaisera, a ostatnio Kanclerza;
4. Tradycja słowiańska (znana bardziej jako „kozacka”) – to tradycja stosowania woli ludu wyrażanej w warunkach wiecowych, wbrew pozorom stosowana nie tylko poprzez instytucję „majdanu” (rady siczowej), ale np. w formule tłumnej prośby ludu do matki kniazia, by przyzwoliła na jego „carowanie”, taki też charakter miał fenomen „pierwszej Solidarności”, to samo legło u podstaw bałkańskiej formuły „skupštiny”;
5. Tradycja wolnomularska – oparta na założeniu, że dobrym obywatelem jest ktoś „sformatowany” mentalnie ku aktywności użytecznej społecznie, a jednocześnie wciąż odświeżający swoje kompetencje-profesjonalizm, i jako taki podejmujący się zadań publicznych poprzez współdziałanie korporacyjne;
6. Tradycja faszystowska – zakładająca, że wspólnota-wspólnot stoi ponad wszelkimi „sztywnościami formalnymi”, wola ludu zagregowana poprzez wspólnoty stanowi o wszystkim co istotne w społeczeństwie i państwie, zaś samo państwo (urzędy, organy, służby, legislatura) powinno być spersonifikowane w osobie o najwyższych walorach moralnych, merytorycznych i przywódczych;
7. Tradycja komunistyczna – to „zrzeszenie zrzeszeń wolnych wytwórców”, albo inaczej: Kraj Rad, czyli sieć podmiotowych samorządów terytorialnych, branżowych, środowiskowych zespolona jedną ideą sprawiedliwości społecznej, samonaprawialna (w rozumieniu „rynkowej wańki-wstańki”), wstrzeliwująca się w oczekiwania społeczne;

Oczywiście, nie cały ten pakiet jest wyłożony na ladzie, z dobrym i zrozumiałym opisem, poza tym kluczową rolę przy ewentualnym wyborze odgrywają nie zagregowane opinie, tylko zagregowane interesy.

Dlatego rzeczywisty wybór jest następujący: albo „teutonia” (tu przykład UE), albo „garnizonia” (tu przykład USA), albo „mix” słowiańsko-faszystowsko-komunistyczny (wybuchający gejzerami w Europie Środkowej pod imieniem „oburzeni”).

* * *

Tak jak niewiele wiedzieliśmy o „demokracji i rynku”, które w ciemno przyjęliśmy jako podstawę Transformacji – tak dziś niemal nic nie wiemy o tym, jak działa „demokracja amerykańska”.

Zatem śpieszę przybliżyć istotę widoczną „zza szyby”, a szczegóły pozostawiam tym, którzy z tą „demokracją” obcuja cieleśnie.

Trzeba wiedzieć, że ustrój państwa amerykańskiego – to „garnizonia” na wzór rzymski: tamtejsza „demokracja” polega na swobodzie zakładania wewnątrz kraju (który skolonizowano kosztem miejscowych cywilizacji i kolonialnie zaludniono „importem” z Afryki) i w całym świecie podmiotów o charakterystyce „refugium” (ostoja, kolonia), osobliwości biznesowo-militarnej, łączącej w sobie funkcje faktorii i fortu (podobnie kolonizowano Indie czy Syberię). Faktoria – jak wiadomo – to biznesowa placówka agenturalna zajmująca się odsysaniem, drenowaniem miejscowego potencjału na rzecz macierzystej metropolii, fort natomiast – to placówka zbrojna (wojskowa, ochroniarska, gwardyjska, łagrowa), zajmująca się pilnowaniem „ładu” sprowadzającego się do poskramiania sprzeciwów wobec suwerena ekonomicznego i zaprowadzanych przezeń porządków.

Aparat federalny Stanów Zjednoczonych od czasu wykrystalizowania się tzw. korporacji (opartych na „samo-mnożących się” zasobach i zyskach[1]) – jest na służbie największych sieci refugiów. Niedowiarkom zalecam szczegółowe przestudiowanie fenomenu Hulliburton czy Lockheed albo Wal-Mart, i dla przeciwwagi – korporacji tele-informatycznych, a na koniec mega-biznesu bankowo-ubezpieczeniowo-financego. W polskiej tradycji podręcznikowej – tej z czasów PRL, bo nowszej nie ma – główną myślą polityczną jest oskarżenie amerykańskich polityków i „nomenklatury” o wzajemne przenikanie się z „nomenklaturą korporacyjną”. Jednym słowem: dziś jesteś weteranem, jutro kongresmanem, pojutrze dyrektorem lub doradcą w korporacji. Jak nie ty – to twoi krewni lub „dożywotni przyjaciele”.

Lokalne społeczności małomiasteczkowe – zżyte z okolicą farmerską lub suburbiano-drobno-biznesową – nadal przypominają „kulturę westernu”, gdzie jeden albo kilku mikro-tuzów biznesowych decyduje o personaliach w przypadku burmistrza, szeryfa, zarządza prywatną „ochroniarnią” lub lokalną „gwardią”, daje pracę, rozdziela życiowe szanse i wymaga lojalności oraz pokory. No, i pilnuje swojej nad-pozycji wobec rozmaitych „niezależnych” geszeftów miejscowych. Komu się to nie podoba – może w wielkim mieście szukać szansy wojskowej, korporacyjnej, naukowej, kapłańskiej, artystycznej, związkowej, gangsterskiej albo politycznej (w tej ostatniej musi zaczynać od aktywności w komitetach wyborczych jako wolontariusz, ale ma szansę stać się np. asystentem kongresmana, a to już dobry punkt odbicia). Jeśli szansy nie znajdzie – wpada w pułapkę wykluczeń, bardziej dotkliwą niż nawet ta polska, gdzie kilka milionów (w Polsce) żyje poniżej minimum, drugie tyle tuż powyżej minimum, trzecie tyle pojechało „za chlebem”.

* * *

Garnizonia przeciętnemu Słowianinowi automatycznie kojarzy się z Gulagiem, choć to

nieprawda, chyba że rozumiemy, co to jest wszechwładza „aparatu” nad szarym obywatelem, którego można dowolnie inwigilować, nękać, szantażować, wcielić, pozbawić szans, przeprowadzać na nim eksperymenty, zabić „bo mogę”.

Oczywiście, nasze doświadczenie odnosi się do stalinizmu, poza tym w tej części świata nie udało się ogłupić mas pojęciem „naród radziecki”, tak jak to się stało w przypadku „narodu amerykańskiego”: stąd u nas wszelkie autorytarne zapędy władzy spotykają się z natychmiastowym „majdanem”, a w Ameryce – beneficjenci „garnizonii” są w większości i zagłuszają wszelki odruch majdaniarski, wesprą maccartyzm, co najwyżej przyzwolą z niechęcią na „hippisowanie”.

* * *

Unia Europejska – tu już chyba nie ma wątpliwości – to koncept teutońskiej „rzeszy” bankrutujący wobec „multi-kulti”, załamujący się pod biurokratycznym samo-ciężarem, ustępujący pod żarłocznym naciskiem TTIP czy CETA oraz słabo uzbrojony wobec wszechwładzy amerykańskich twórców w rodzaju NATO, MFW, agencji ratingowych, Banku Światowego, itd.

Mało też dziś jest możliwy powrót do formuł kozacko-majdaniarskich, skupštiniarskich czy solidarnościowo-gdańskich.

Dlatego tyle uwago poświęcam amerykańskiej garnizonii, której „wysunięte placówki” serdecznie witamy od jakiegoś czasu

Jan Herman

[1] Samo-mnożenie polega właśnie na formule „refugium”: w zwykłych, podręcznikowych warunkach firmy wzrastają stopniowo, w dużej zależności od obiektywnej koniunktury, ale tam, gdzie „faktoria” pozostaje w symbiozie z „fortem” – zysk i majątek trwały są pochodną „przydziału”, umowy politycznej, a nie gospodarności. Wtórna część gospodarki – oparta na obsłudze „refugiumów” – to w rzeczywistości „żelazny elektorat” tej partii, która lepiej „ułoży” garnizonię „pod interesy” „refugiumów”;

Więcej: <http://publications.webnode.com/news/demokracja-amerykanska/#.WHylh7u5eKM.fac ebook>